

„W roku 2004 mieliśmy już obiecujący trzon drużyny narodowej. Jej podporami byli bramkarz Jerzy Dudek, środkowy obrońca Jacek Bąk, lewy pomocnik Jacek Krzynówek i napastnik Maciej Żurawski. Poziom zbliżony do mundialowego jesienią 2004 reprezentowali: Marcin Baszczyński, Kamil Kosowski, Mirosław Szymkowiak i Tomasz Frankowski. To jeszcze nie cała drużyna! Ale na tym fundamencie łatwiej o wybór najważniejszego systemu gry i najsukuczniejszej taktyki. O motorykę, odporność organizmów na wysiłek, a to od dość dawna jest naszą słabą stroną, muszą zadbać sami zawodnicy”.

Rozbieżność w ocenie klasy poszczególnych zawodników i wartości drużyny dość duże. U Klejndinsta i Hurkowskiego aż „dziewięciu wspaniałych”, u mnie (na dobrą sprawę) tylko czterech, a kolejnych czterech z nadzieją na sprośanie mundialowym wymogom. W praktyce chybione okazały się obie supozycje. Z moich pewnych kandydatów do mundialowej reprezentacji niespodziewanie, ale sprawiedliwie ubył Jerzy Dudek, zaś z grupy nieco niżej notowanych kandydatów Tomasz Frankowski. Losy obu, perypetie nieudanego „łowcy bramek” ze zmianą barw klubowych i kłopoty bohatera finału Ligi Mistrzów w Liverpoolu są powszechnie znane. To właśnie one, brak formy i poważnych prób meczowych, skłoniły Janasa do tak ostrych cięć. Cenię selekcjonera za odwagę, ale muszę zganić za kilka innych błędów w selekcji. Zamienił stryjek siekierę na kijek... Efekt był taki, że na Weltmeisterschaft 2006 zaprezentowaliśmy drużynę w niczym nie przypominającą tej z przedmundialowych eliminacji. Nawet moi dwaj faworyci Krzynówek i Żurawski byli w Niemczech li tylko nieudaną kopią wcześniej wydanych cenzurek: „Zapewnia stabilizację drużyny” i „*Magic... ma mnóstwo zalet*”.

Chłopcy przyjechali na ten turniej nieprzygotowani. Tak, to – obok nijakości pozostałych graczy – było główną przyczyną słabości Szymkowiaka i Żurawskiego. „Grali w parze”, ale ten zapowiadany przez fachowców atut nie spo-

wodował „wzrostu wartości ich obydwu”, w rezultacie ujemnie wpłynął na mierny poziom i bojaźliwy sposób gry całej drużyny. Skąd taka różnica między obiecującym „czasem eliminacji”, a zawstydzającą postawą na turnieju finałowym? Wtedy w grę wchodziły głównie pojedyncze mecze, teraz czekał drużynę długi i męczący turniej. Zupełnie inna jakość. Wymagało to solidniejszych przygotowań i znacznie większej koncentracji. Zabrakło obu tych wartości. I jeszcze jedna dość istotna uwaga: wtedy kadrowicze byli w pełni sezonu ligowego, dbali o formę głównie w macierzystych klubach, a przerywnik na grę w reprezentacji i wizja wyjazdu na Mundial dodatkowo ich mobilizowały. W Niemczech zjawili się „na kadrze” po wyczerpujących grach przede wszystkim w ligach zagranicznych, czyli po herbacie. Wówczas tam już nikt ich nie „rozliczał”. Odetchnęli, pofolgowali, zapominając że w reprezentacji nie ma taryfy ulgowej, tam potrzebne są „podwójne płuca”. I tu zaczęły się schody. Nie stało czasu na szybką odbudowę wyeksploatowanych organizmów. No to chłopcy grali tak, że płakać się chciało.

Niewiele dał przedmundialowy poligon i próba ożywienia zastygłych organizmów. Bitwa o drugą rundę przegrana. Nie była to tylko „nasza dolegliwość”. Kilku znacznie większym od nas mistrzom też się nie powiodło. Podobnie było na World Cup 2002 w Korei Południowej i Japonii. W naszej ekipie tym razem najbardziej fałszywie zabrzmiało zapewnienie, że „*Mirkowi (Szymkowiakowi) nieźle zrobiła zmiana klubu z Wisły do Trabzonspor*”. Bądźmy szczerzy, takie transfery – z małymi wyjątkami – w stopniu oczekiwanym reprezentacji nie pomogły. W Korei nie był w stanie temu zapobiec Jerzy Engel, a w Niemczech Paweł Janas. Najwyraźniej tu i tam dało się zauważyć, że awans do finałów mistrzostw świata był końcowym przystankiem naszej reprezentacji.

Korci mnie, by przypomnieć własne dość szczegółowe przemyślenia na ten właśnie temat. Wtedy być może tu i ówdzie, ten i ów – mądry dopiero po Mun-

diału, nieco trzeźwiej i sprawiedliwiej spojrz na mizериę „biało-czerwonych” na niemieckich stadionach. Nie są dla nas gościnne, już raz przegraliśmy tam z gospodarzami 0:1, teraz historia się powtórzyła. O ile jednak w roku 1974 naszej „lekkiej kawalerii” rozwinięcie pełnych skrzydeł utrudniała fatalna aura, ów niezapomniany „bój w wodzie”, o tyle w 2006 przyczyna była bardziej prozaiczna, nie związana z siłami nadprzyrodzonymi – po prostu brak odpowiednich umiejętności. Oto kilka wybranych – spośród wielu innych – moich uwag dużo wcześniej zasygnalizowanych w tej drażliwej kwestii:

Odradzałem hołubienie mocno już wyeksploatowanych uczestników nieudanej wyprawy na World Cup 2002.

W reprezentacji nie gra się za zasługi.

Selekcjoner nie ma „klawego życia”. Dobrze, że w kadrze nie ma już Świerczewskiego, Kryszalowicza i Hajty, a pozycja Rasiaka i Kłosa też wydaje się być niepewna. Czy to wystarczy? Potrzeba nieco więcej „świeżej krwi”.

Winna być zachowana równowaga między starszymi i młodszymi zawodnikami. W naszej kadrze te proporcje są zachwiane – brak dwudziestolatków.

Będziemy skazani na utrzymywanie w dobrej formie mocno już wyeksploatowanych trzydziestolatków. To mnie trochę martwi. W tym wieku prochu się raczej nie wymyśli, zresztą wbrew naturze niełatwo jest „odwlekać piłkarską starość”.

Zapewne pojawią się też „jednodniowi milionerzy”: Rasiak, Piechna, Sosin... Lubańskim to ten Rasiak nie jest... Oby Piechna nie stał się gwiazdą jednego sezonu... Nominacji Sosina nie traktowałem poważnie. Może więc Paweł Janas postawi na równie nieobliczalnego Ireneusza Jelenia?

Dobry piłkarz powinien dać sobie radę w każdym systemie gry. Jestem z usposobienia optymistą. Podmuchać na zimne jednak nie zaszkodzi.

Tego chłodniejszego spojrzenia w czasie przedmundialowym zabrakło jednak – będę to powtarzał – ludziom „trzymającym władzę w PZPN”, selekcyonrowi, jego doradcom, mediom, a także kibicom, zaraz po udanych eliminacjach przesadnie karmionych nadzieją na sukces w puli finałowej. Zaczęło się, pomijając nasze niedostatki organizacyjne i szkoleniowe, od wadliwej oceny pierwszego rywala – Ekwadoru. Za mocno utkwiała w pamięci Polaków wygrana z tą drużyną w towarzyskim meczu w... kałużach wody. W Hiszpanii to nie były normalne warunki, budowanie akcji dość przypadkowe, a końcowy wynik nie odzwierciedlający wyszkolenia techniczno-taktycznego rywali. Tylko siła fizyczna była po naszej stronie. Jak to widzieli Edward Klejndinst i Roman Hurkowski w swym przedmundialowym przewodniku?

Klejndinst: – Widziałem wszystkich w zasadzie zawodników, którzy otrzymali powołania do kadry na mistrzostwa świata... Skoro wtedy (w Barcelonie – przyp. J.L.) na pokrytym kałużami boisku, w ulewie, daliśmy sobie radę, to powinniśmy dać sobie i w Gelsenkirchen. Tym bardziej, że dzięki tamtemu sukcesowi mamy przewagę psychologiczną.

Hurkowski: – Ale panie Edwardzie, tu na spokojnie mówię, że nie ma się czego obawiać, ale wewnątrz czują jakiś strach. Bo to jednak rywal nieprzewidywalny, bo pierwszy mecz, bo naszym może się coś nie udać, a im wszystko...

Klejndinst: – Tamto zwycięstwo nie może naszych piłkarzy wprowadzić w samouspokojenie... Ekwadorczyków podrażniło.

Byli więc już przed mistrzostwami ludzie, którzy – w przeciwieństwie do naszych piłkarzy – usiłowali „dmuchać na zimne”. Ich reakcje i opinie puszczały jednak mimo uszu. Zresztą, pocieszano się, że wcześniej do pierwszych spotkań na Mundialach „biało-czerwoni” z reguły przystępowali szczególnie mocno zmobilizowani i skoncentrowani. Stąd na przykład w roku 1974 wygrana w debiucie z Argentyną, a w latach późniejszych remis z Niemcami w Argenty-

nie, Marokiem w Meksyku i z Włochami w Hiszpanii. Tylko w Korei nie udało nam się start z gospodarzami. Efekt znany. Tamte mecze pod batutą Górskiego, Gmocha i Piechniczka otwały nam drzwi do dalszych gier, natomiast ten pod wodzą Engela był początkiem zła. Tak to przed pierwszym meczem z Ekwadorem z Gelsenkirchen widział Edward Klejndinst:

– Można mówić o jakimś „prawie pierwszego meczu”. Bo jeśli się go przegra, albo nawet zremisuje ze słabszym teoretycznie przeciwnikiem, no to naprawdę ciężko się potem w dwóch następnych spotkaniach pozbierać... Bowiem większej wagi zaczyna nabierać kwestia psychiki... Dlatego w naszych przygotowaniach – mając na uwadze tę skalę mikro, a nie makro – przede wszystkim myślimy właśnie o meczu z Ekwadorem... Na razie do Niemiec jedziemy na mecz z Ekwadorem, jakby tamtych – z Niemcami i Kostaryką – nie było... Nie możemy zlekceważyć tego przeciwnika. Musimy zapomnieć o zeszłorocznym zwycięstwie 3:0 z Barcelony.

Na to Roman Hurkowski:

– Na Word Cup 2002 w naszej grupie prawo pierwszego meczu zadziałało w pełni bowiem w pierwszej turze Korea pokonała Polskę, Stany Zjednoczone uporały się z Portugalią i ci właśnie zwycięzcy, mimo późniejszej porażki Stanów z Polską, znaleźli się w 1/8 finału.

Klejndinst: – Wnioski z tej analizy jeszcze bardziej zachęcają do starań o wygranie pierwszego meczu... Co do Ekwadoru, to z jakiej strony by nie patrzeć – psychologicznej, strategicznej, motywacyjnej i naturalnie czysto wynikowej – zrobimy wszystko, by 9 czerwca 2006 roku na stadionie w Gelsenkirchen wygrać!

Mniej więcej w takiej tonacji utrzymany jest cały, długachny dialog Klejndinsty z Hurkowskim. Padło w nim wiele ciepłych słów zachęty, ale też sporo uwag mniej optymistycznych i nie pozbawionych obaw. Szczególną uwagę warto

tu zwrócić na takie oto wiele mówiące sformułowania: ● mamy przewagę psychologiczną ● rywal nieprzewidywalny ● tamto zwycięstwo nie może naszych piłkarzy wprowadzić w samouspokojenie ● nie możemy zlekceważyć tego przeciwnika ● zrobimy wszystko, by wygrać. Obiecanki, cacanki... Mając to na względzie, trudno ukryć złość i udawać, że „nic się nie stało”, co dość często zwykli wykrzykiwać nawet kibice.

UPIĆ SIĘ WARTO...

Coś jednak się stało. Przede wszystkim zostaliśmy okradzeni z marzeń i od dawna oczekiwanych choćby kilku chwil radości. Sport, zwłaszcza piłka nożna, częste w przeszłości piękne mecze i niekwestionowane zwycięstwa, łączyły nie tylko kibiców zwaśnionych klubów, lecz także reprezentantów różnych opcji politycznych. Wtedy, gdy Polacy wygrywali, wszyscy byli nasi – „biało-czerwoni”, jedyni, ukochani. Dźwięki Mazurka Dąbrowskiego wzruszały każdego i niejednemu z nas wyciskały łzy... szczęścia. Byliśmy dumni, że jesteśmy Polakami. Anno 2006, patrząc na nieporadność piłkarzy zwłaszcza właśnie w pierwszym meczu z Ekwadorem, można było tylko upić się z rozpacz, a potem – JEŚLI „FILM” SIĘ NIE URWAŁ – pośmiać się z własnej głupoty.

Jak zareagował Janas? Wypić lubi i potrafi, przeto zapewne i on mocno pośmiałby się właśnie z własnej naiwności. Chciał przecież czynić samo dobro, które – być może – zapisano by złotymi zgłoskami, jeśli już nie na tym ziemskim padole, to zapewne w niebie. I tu zgubiła Pawła frajerska ufność w okazjonalnych przyjaciół, niektórych współpracowników, piłkarzy, znaczną część niekompetentnych działaczy, a także w fachowość i bezstronność „czwartej władzy”. To nie był szczyry sojusznik. Znał media z lepszych czasów. Niegdyś recenzenci jego pracy byli bardziej obiektywni, wyrozumieli, znający dobrze realia, po pro-

stu – profesjonalni. Starali się sięgać głębi sprawy, nie ograniczali się do ulotnej impresji, dostrzegali strony dobre i złe, słowem – dalecy byli od ocen jednostronnych i skłonności do koniunkturalizmu. Po mundialu te wszystkie cenne wartości poszły w zapomnienie.

Prasa bulwarowa, obok prezesa Michała Listkiewicza, najchętniej opluwała właśnie Janasa. W świecie sportu, tak mocno uczulonym na czystość reakcji, trudno to uznać za praktyki chwalebne. Niektórzy przedstawiciele tej „czwartej władzy” usiłują sprawiać wrażenie, że nie tylko rządzą, ale są również uzdrowicielami wszelkiego zła i nosicielami wyłącznie zdrowych pomysłów. A to prawdą nie jest. Dziennik „Fakt” na przykład „odkrył” nagle, że: *„Janas nie miałby szans na zatrudnienie nawet w najstarszym drugoligowcu”*, natomiast „Super Express” pozujący na rewolucjonistów francuskich Maksymiliana Robespiera i Jeana Paula Marata, wręcz rozkoszował się zapachem krwi: *„Żądamy głowy Janasa”* i zachęcał – to już bliższe naszych czasów – do wywózki selekcionera na taczkach: *... „Janas sam nie odejdzie, trzeba go wyrzucić”*.

W nieco strawniejszej formie zamiar ten, zresztą wzorowany na klasyce byłego wicepremiera Andrzeja Leppera, wyraził też Zbigniew Boniek: *... „Parweł Janas powinien odejść! Przegrał Mundial i musi za to zapłacić... Nie można być selekcionerem reprezentacji narodowej bez aprobaty społecznej i medialnej”*. Popularny „Zibi” w każdym słowie wpisał się tu w hunwejbiniowski ton wypowiedzi swojego antagonisty, Jana Tomaszewskiego. Musiał tą woltą Boniek zaskoczyć Janasa tak, jak niegdyś rzymski senator Brutus, gdy wbijał nóż w plecy Cezara. Konający imperator z trudem wydusił wtedy z siebie: *„Et tu Brute, contra me?!”*... Janas przyjął to z dużo mniejszym zdziwieniem: *... „Zwalniali mnie już kilka razy... Ja jednak sam, na pewno nie złożę dymisji”*...

Smak zemsty i nienawiści poznał już znacznie wcześniej, najpierw po przegranej 1:2 z Anglią w Chorzowie, ale dopiero w Niemczech, po wpadce z Ekwa-

dorem, „Czuł się, jak zaszczute zwierzę, które jeszcze ucieka, ale samo wie, że koniec jest bliski” – tak barwnie to widział Dariusz Tuzimek z „Przeglądu Sportowego”. Nie znam bliżej człowieka, przeto trudno mi jednoznacznie ocenić jego wiedzę i intencje, choć pewne światło na jego wścibski charakter ma ogłoszona w „PS” długachna lista sędziów piłkarskich ubabranych w korupcji. Pomógł sprawie czy zaszkodził? W każdym razie zasilił szeregi „dziennikarstwa śledczego”. Widać zapragnął równie dużego rozgłosu, jak autor głośnej „listy Wildsteina”. Też pójdzie w górę czy spocznie na laurach?

Dużo lepiej znam natomiast Romana Kołtonia, z którym swego czasu krótko, ale owocnie współpracowałem. On też nie ustrzegł się oskarżycielskiej retoryki. Nie ukrywam, że to właśnie najbardziej mnie zaskoczyło i zdziwiło. Mogłem odnieść wrażenie, że Kołtoń również lubi żonglować opiniami. Raz bowiem publicznie przyznaje, że „Przegląd Sportowy”, którym obecnie kieruje „Zawsze kibicuje kadrze (wiem o tym dobrze z własnego doświadczenia i wielu lat pracy właśnie w „PS”), ale jednocześnie daje do zrozumienia, że w nosie ma szefa reprezentacji: ...*„Janas zero!... Koniec Janasa... Nikt normalny nie ma złudzeń, że ten człowiek jest skompromitowany”*.

Hola, Romanie! Nikt normalny?... Człowiek skompromitowany?... Być może również mnie masz za idiotę, bo aczkolwiek Pawłowi też co nieco wdarłem się za paznokcie, to nie śmiałybym użyć tak wulgarnych i niestety – w naszych czasach tak popularnych „skrótów myślowych”. To słownictwo jest przecież chlebem powszednim źle wychowanych polityków, ale nie licuje wizerunkowi kulturalnego dziennikarza za jakiego zawsze Cię uważałem. Sądzę, że to zwykły wypadek w Twojej zazwyczaj rzetelnej pracy i rzeczowych ocenach. Wierzę, że nadal jesteś zwolennikiem partnerskiej polemiki i społecznego pluralizmu. W sporcie w ogóle, zwłaszcza w piłkarstwie język charakterystyczny dla parlamentarzystów, nie jest mile widziany. Tu wszyscy jesteśmy kibicami „biało-czer-

wonych”, tej samej drużyny, jednakowo to przeżywamy. Zdrowy dialog w podobnych sytuacjach jest przecież najwłaściwszą formą wyrażania i obrony własnych myśli i poglądów. Potraktuj więc moją uwagę jako wyraz sympatii, a nie sprzeciwu wobec tego, co napisałeś również w mojej ulubionej gazecie. Tam zawsze uczono (mnie również) dziennikarstwa życzliwego ludziom sportu, a naszej ukochanej piłce nożnej – szczególnie.

Nie przypisuję futbolowi nietykalności „świętej krowy”, też nie darzę sympatią ludzi wciąż dość często „przynoszonych w teczkach”, nie tylko z rekomendacji politycznych, lecz także z dużą kasą, a nie głową pełną sportowej wiedzy i społecznych inicjatyw. Jednak gdy decyduję się na słowa krytyki, przede wszystkim mam na względzie dobro dyscypliny. Mniej interesują mnie kariery pseudodziałaczy, bo wolę oddać należną cześć ludziom oddanym futbolowi bez reszty, z pasją – a nie łasym na pochlebstwa. Taką właśnie osobą, przynajmniej moim zdaniem, jest Paweł Janas. Biczować i przywoływać do porządku należy tylko autentycznych nieudaczników, sportowych egoistów i dorobkiewiczów. „Janosik” jest ich całkowitym zaprzeczeniem. Ma na swoim koncie sporo dobrych uczynków, co ważne – niezbyt odległych w czasie. Czyżbyś i Ty Romciu o tym zapomniał? Wiem, liczyłeś w tym turnieju na więcej, ja – już nieco mniej. Ty chyba trochę za dużo. Może przyznasz mi rację, jeśli bez nadmiernych emocji ocenisz możliwości tej podstarzałej drużyny i warunki, w jakich powstawała. Wszak nie tak dawno sam mówiłeś, że „**z pustego i Salomon nie naleje**”.

Myszę też, że niesłusznie selekcyjne umiejętności Janasa podważył również Twój partner i przyjaciel z „Polsatu”, Mateusz Borek. Tworzycie dobrą parę telewizyjnych komentatorów, znacznie lepszą, niż bełkotliwy duet Mielczarski – Szpakowski z telewizji publicznej, ale łatwo odnieść wrażenie, że Janas nie jest bohaterem żadnego z Waszych romansów. Otóż Borek nad wyraz pewny siebie

jednoznacznie sugeruje, że „Janas w ciągu niespełna czterech lat wykończył niezły *manschaft*”. W bramce Dudek. W obronie Hajto, Kłos, Żuraw i Rząsa. W pomocy Świerczewski, Kałużny, Zdebel. W ataku Niedzielan, Frankowski, Saganowski. A i ławeczka była by całkiem, całkiem – podkpiwa kolega Mateusz – Kowalewski, Gorawski, Scherfchen, Surma, Piechna i jeszcze paru innych. Obsesją stało się odmładzanie reprezentacji”.

No tu, niestety – „Przegląd Sportowy”, tak bliski memu sercu, wyraźnie zranił ten najczulszy narząd. Pal sześć obsesję, ostatecznie każdy z nas wcześniej czy później się jej nie wywinie. Ale żeby na łamach poważnego pisma, bronić mocno już wyeksploatowanych obiężyświatów, sporej przy tym grupki „odrzutów z eksportu” i de facto w większości już piłkarskich emerytów wynosić do rangi zbawców reprezentacji, to gruba przesada. Myślę, że to tylko żart, choć wypowiedziany nie w afekcie, a celowo. Tu więc zgody i łagodnej perswazji być nie może, bo to dwa całkiem inne bieguny. Zawsze byłem, jestem i będę za odmładzaniem, a nie konserwowaniem reprezentacji. I tu właśnie wytknąłbym Janasowi najwięcej błędów, nadmiernego przywiązania właśnie do trzydziestolatków, o których mój ulubiony trener Orest Lenczyk wyraził druzgocącą opinię: **„w naszych warunkach to futbolowe wraki”**. Bywają wprawdzie wyjątki, ale generalnie pan Orest ma rację.

Tradycyjnie już na łamach „Przeglądu Sportowego” prezentują swoje racje nie tylko zawodowi dziennikarze. Także działacze i trenerzy mają możliwość popisywania się umiejętnością pisania. Najdłużej i niewątpliwie dla gazety najkorzystniej wykorzystuje tę szansę Antoni Piechniczek, najpierw ligowy i reprezentacyjny piłkarz, później „medalowy” trener, a ostatnio głównie działacz szczebla centralnego. Ma on nieco inne, nie tak stadne, jak większość skandalistów, spojrzenie na współczesne dolegliwości polskiego piłkarstwa. Z Antkiem też nie zawsze się zgadzam, ale w pełni podzielam jego zdanie głównie w spra-

wach o szerszym wydzwiewku społecznym: – „Cynizm czasów, w jakich żyjemy, pozwala wchodzić w rewiry do tej pory zarezerwowane dla zasad fair play i zdrowego rozsądku”.

Cieszyć musi to wyznanie Piechniczka, bo przypomina, że przesłanie barona de Coubertina, tak odległe w czasie i dla współczesnych gladiatorów stadionów nieco śmieszne, w umysłach prawdziwych miłośników sportu, wciąż jest żywe, choć pod naporem walki o wynik brutalnie spychane na margines. Bronić więc wypada sztandarowych kanonów świata „czystej gry”, ostatnio poplamionej głównie przez „brudne pieniądze”. Bronić trzeba też przekonania, że najczęściej zdrowy duch bywa w zdrowym ciele. Cieszyć może każde zwycięstwo, ale prawdziwą radość daje tylko to, które przyszło zgodnie z regułami właśnie „fair play”. W naszej reprezentacji te wartości od dziesiątków lat mają tę samą treść i te same barwy, biało-czerwone. Zobowiązują do tego słowa i melodia Mazurka Dąbrowskiego. W klubach obowiązuje dziś zupełnie inna retoryka.

Występ drużyny narodowej na niemieckim Mundialu nie był udany. Jednak wśród liczego grona frustratów można też było dostrzec ludzi o zdrowej strukturze psychicznej. Ci trzeźwo i sprawiedliwie ocenili nasze niepowodzenie: – Wedle stawu grobla. Ta prawda wyraźnie kontrastuje z opiniami chorobliwie niezadowolonego Tomasza Iwana i permanentnie „niedocenianego” Piotra Świerczewskiego. Nie chcą uwierzyć, że ich czas już bezpowrotnie minął. Również Jerzy Dudek usiłował przekonać opinię publiczną, że dzieje mu się krzywda. To dlaczego nie grał w macierzystym klubie? Dudek i jego poplecznicy i tu usiłowali przypisać Janasowi jakieś bliżej nie zidentyfikowane działania pozasportowe, diablo przykre, bo sugerujące powiązania z siłami przestępczymi. Rezerwowi Liverpoolu zapewne ujawni te rewelacje w kolejnej publikacji książkowej. Czy będą bardziej wiarygodne, niż „Dudkowa literatura” z Word Cup 2002?

AUFWIEDERSEHEN, PANIE JANIE!

Być może, że swoje zdolności twórcze, tym razem już w wersji epickiej, ujawni wkrótce również „urzędowy” krytyk PZPN, Jan Tomaszewski. Na razie, jak ów mityczny Syzyf, w pocie czoła, kompletuje „kwity” na Listkoland i rozśmiesza nimi czytelników niektórych gazet krajowych i zagranicznych. Na przykład na łamach niemieckiego „Berliner Morgenpost” – jak podaje w tygodniku „Angora” red. Wojciech Filipiak, nasz były reprezentant Polski, medalista olimpijski i mistrzostw świata, wygłupił się – to jego ulubione powiedzonko – „bardziej, niż ustawa przewiduje”. Autor po tym wyznaniu sugeruje w „Angorze”, by „Tomkowi” powiedzieć „Aufwiedersehen”. Aż tak mocno się wygłupił? Posłuchajmy:

...„PZPN jest od dawna mistrzem świata w marnowaniu talentów, nie ma systematyczności i długofalowego szkolenia. Najlepszym przykładem są Mirosław Klose i Łukasz Podolski – w Polsce ich talenty na pewno by się nie rozwinęły... Gdybym był jeszcze czynnym piłkarzem i mógł wybierać między Polską a Niemcami, to chciałbym grać w reprezentacji Niemiec” – tak prezentuje swoje obecne „ja” jeden z najlepszych bramkarzy w historii polskiego futbolu.

Tomaszewski nie zawsze trafia kulą w płot, czasem celnie strzeli do tarczy, ale dar szczególny ma w prezentowaniu retoryki skandalizującej. Ta wada (dla niektórych zaleta) zjednała mu jednak sympatię bulwarowego dziennika „Fakt”. Znalazł tam „pan Jan” wymarzone miejsce dla powielania informacji najczęściej zmyślonych, krytyki wyłącznie dla krytyki i niekiedy wręcz obrzydliwego donosicielstwa. Aż wierzyć się nie chce, że niegdyś członek PRON-u (Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego w stanie wojennym) tak łatwo i przy pełnej aprobacie wydawców brukowca wpisał się w nową rzeczywistość. Jest zdolnym uczniem zwolenników „rewolucji moralnej”, ostatnio tak mocno nagłaśnia-

nej nie tylko w futbolu. Tu idzie „pan Jan” wyraźnie z prądem. Ale – jak stwierdza „Angora” – płynie też pod prąd, gdy na łamach „Berliner Morgenpost” szermuje antypolskimi pomysłami.

Zdopingowany supozycją Wojciecha Filipiaka, zajrzałem do tzw. stopki redakcyjnej „Faktu”. Któż to, ach któż to jest właścicielem tej bulwarówki? Przesadą było by, gdybym napisał, że odkryłem rzecz niezwykłą, bo wiem, że dziś znaczna część naszej prasy jest w zagranicznych rękach. Dziennik „Fakt” jest własnością potężnego w Niemczech koncernu prasowego Axela Springera. Nasz enfant terrible widać obdarza to pismo szczególną sympatią, podobnie, jak niemiecką szkołę gry w piłkę nożną. Swego czasu jednoznacznie dał temu wyraz na konferencji szkoleniowej w polskim sejmie. Czy to tylko zbieg okoliczności? Nie śmiem doszukiwać się motywu, jaki przyświecał panu „Tomkowi”, gdy zapragnął przywrócić swoją młodość i oddać swój piłkarski talent na usługi zachodniego sąsiada. Nie on pierwszy i nie ostatni. To dziś takie modne...

Wątek „polska prasa w obcych rękach”, niemalże automatycznie kojarzy się z pojęciem „wolności słowa”. W czasach mojej młodości nie było z tym problemu, wszak o wszystkim, co „słuszne” i „prawdziwe” – decydowała cenzura. W sporcie bez większych ograniczeń krytykować można było tylko drobne plotki. Wara od partyjnych i resortowych dygnitarzy oraz międzynarodowych sojuszników. Dziś takich kłopotów nie ma. Prasoznawcy powiadają więc z ulgą i dumą, że *„wolność słowa jest największą zdobyczą demokracji, współczesnego świata”*. Mając to na względzie, staram się – bez obawy, że cenzor coś zakwestionuje – pisać to, co myślę i wierzę, że już nikt i nigdy nie pozwie mnie z tego powodu „na dywanik”. Szczerze to sygnalizuję, bo wciąż dużo więcej jest we mnie cech „homo sapiens”, niż „homo sovieticus” – jak to niegdyś wyraził się o naszym pokoleniu książdz profesor Józef Tischner.

No właśnie „homo sapiens”! Z tym starorzymskim pojęciem ściśle się jednak wiąże, a właściwie stanowi jego nierozzerwalną całość organiczną – odpowiedzialność za wyrażone bądź utrwalone na piśmie określone myśli i poglądy. Nic to nie kosztuje? Bez przesady. Znam co nieco ten zawód, a także sporo osób dziś zatrudnionych w mediach. Otóż nawet teraz wolność słowa niejedno ma imię. Swobodnie można wygłaszać własne zdanie, nikogo przy tym nie oszczędzając, wszystkich traktując jednakowo, ale... pod warunkiem – łatwo to odczuć – że utrzymuje się nakreśloną przez wydawcę „linię redakcyjną”. Media sportowe też nie są wolne od tych kanonów, choć pozują na krystalicznie obiektywne. Mają swoich faworytów i outsiderów. Teraz pod największym ostrzałem jest PZPN i jego kierownictwo, chętnie utożsamiane z grupą pospolitych złoczyńców.

Po Mundialu ani na jedno dobre słowo nie mógł też liczyć Paweł Janas. Zdecydowanym „liderem” w tej antyselekcjonerskiej krucjacie był oczywiście Jan Tomaszewski. Wsłuchując się w ton jego już nudnawej retoryki, bo w takiej formie powielanej od wielu lat, szczególnie po ostatnich niepowodzeniach piłkarzy, można było odnieść wrażenie, że nawet z kranów w zlewozmywaku i prysznicu w łazience dużymi strumieniami płynęły słowa pogardy dla ludzi futbolu. Grzmiał w trzecim programie telewizji publicznej. – *Fatalny PZPN! Janas do dymisji! Potrzebny jest komisarz, bo w futbolu gnieźdzą się sami przestępcy*”. Dawał przy tym „pan Jan”, po raz kolejny do zrozumienia, że chętnie sam zabawiłby się w Wasilija Czapajewa i już następnego dnia po nominacji wydobył by związek z ulicy Miodowej z cuchnącego bagna. Czarodziej! Stop korupcji, karierowiczom, ignorantom, przebrzydłym „komuchom”, złemu zarządzaniu i szkoleniu na poziomie „króla Ćwieczka”!

Dzielnie w tych uzdrowicielskich mrzonkach sekundowały eskbramkarzowi jednostki szczególnie „uzdolnione” w fabrykowaniu skandali. Znam osobi-

ście jednego z najbardziej krewkich „redaktorów”. Zaczynał prasową edukację od „chłopca na posyłki”, dość często pędził po pół litra i ćwiartkę salcesonu, ale teraz wyrósł na lidera „dziennikarstwa śledczego”. Na początku swych szpiegowskich praktyk sędziom piłkarskim zaglądał nawet pod kołdrę, donosił, co pili i z kim zachlani spali. Nikomu nie „odpuścił”, tropił faktycznych i urojonych przestępców: sędziów, działaczy, piłkarzy, trenerów. Podczas mistrzostw świata w Niemczech, obserwacji dokonując niewątpliwie z ukrycia, suchej nitki nie zostawił na elicie PZPN. To wyłącznie „pijusy” i „obzarcuchy”! Nawet Grzegorz Lato dobrze czuł się w tej ferajnie.

... „Były senator SLD, który w biało-czerwonej koszulce rozegrał sto meczów – doniósł „nasz śledczy” – tym razem setką dzielił się z innymi. Szło mu gładko, bo wprawy nabrał w parlamencie. Prawoskrzydłowy świetnie drybłował między balowiczami. W utrzymaniu równowagi nie przeszkadzało mu to, że rękę miał zajęta. Sprawnie dawał sobie radę. Tym bardziej, że z każdą minutą „obciążenie” było coraz mniejsze”. Impreza w ośrodku w Bersinghaussem trwała przez długie godziny. Działacze wytrzymywali kondycyjnie do końca. Tylko dlatego, że świetnie się uzupełniali. Imponowali szczególnie przy ceremonii polewania partnerowi”...

Nie jest to odkrywcze źródło informacji. Takie „imprezki” w światku piłkarskim, zresztą jak w każdym innym, są zjawiskiem dość powszechnym. Przecież nie jesteśmy społeczeństwem, które „wylewa za kołnierz”. W piłkarstwie „średnia spożycia” nie jest najwyższa, znam środowiska znacznie częściej zaglądające do kieliszka. Trunkowych mamy nawet na „szczytach władzy”. Futbolisci mają jednak mocniejsze od nich głowy, stąd zapewne „krzepiące” zapewnienie „redaktora”, że ... „*działacze wytrzymywali kondycyjnie do końca*”. To wyraźny postęp w porównaniu z ich poprzednikami z lat siedemdziesiątych i nieco późniejszych. Wtedy „selekcja naturalna” była bardziej okrutna. „Mięczaki” z reguły

kończyli bankiety pod stołem. W Bersinghausem ten „redakcyjny wywiadowca” nic podobnego nie dostrzegł.

Paweł Janas działał głównie na własną rękę, nawet w sytuacjach krytycznych nie zwykł chować się za plecy drugiego trenera Macieja Skorży. Dopiero niepowodzenie na niemieckich stadionach tak nadszarpnęło nerwy selekcyjnera i tak zaciemniało jasność widzenia, że tradycyjny „Raport z Mundialu” postanowił opracować wspólnie ze swoim asystentem. Co dwie głowy to nie jedna! Dobrze przygotowany, merytorycznie trudny do podważenia i logicznie uzasadniony, taki raport mógł by spowodować, że nieco łaskawszym okiem spojrzano by na mundialową wpadkę. Ale maści babo placek! W odniesieniu do tego, co zaprezentowali obaj panowie, słowo „raport” nie za bardzo pasuje. To tylko powierzchowne sprawozdanie, dalekie od rangi imprezy, jej przebiegu, osiągnięć i wpływu na dalszy rozwój nie tylko krajowego futbolu. Były to przecież mistrzostwa jedne z najatrakcyjniejszych w swej długiej historii.

„Raport” sporządzony przez Janasa i Skorżę praktycznie ogranicza się do przypomnienia opinii publicznej faktów już dobrze i powszechnie znanych, mianowicie: zwycięskich eliminacji, przygotowań do turnieju finałowego, opisu gier towarzyskich (kontrolnych) i mistrzowskich z Ekwadorem, Niemcami i Kostaryką. Wcześniej prasa to dokładnie opisała, radio omówiło, a telewizja – pokażała. Media także pierwsze wyraźnie podkreśliły to, co czytamy w „raporcie”, że *„dalsza praca w zakresie taktyki gry powinna pójść w kierunku doskonalenia tego sposobu prowadzenia gry ze szczególnym uwzględnieniem poprawienia akcji ofensywnych w oparciu o możliwie szybkie przejście z obrony do ataku”*.

Ważkie to stwierdzenie, choć nieco pokrętnie wyrażone i nie odkrywcz. Wszak przy każdej nadarzającej się okazji przypomina się o konieczności „**poprawienia akcji ofensywnych**”. Futbol jest grą do dwóch bramek, trzeba tu umieć

zachować równowagę, ale z reguły zwycięża ten, kto szybciej i skuteczniej potrafi przejść właśnie z obrony do ataku. I strzelić gola! Prawda trudna do podważenia. W sferze taktyki (w ogóle filozofii gry w piłkę nożną) są to elementy podstawowe od ponad stu lat. Nie wystarczy więc o tym przypominać, „raport” powinien wskazać drogi, oczywiście na pozytywnych przykładach innych reprezentacji, jak to się robi dziś. Być może (w przeszłości były takie raporty) pion szkolenia PZPN przeniesie z Mundialu na polski grunt najwartościowsze elementy wyszkolenia techniczno-taktyczne i sposoby doskonalenia sprawności fizycznej. W sprawozdaniu duetu Janas-Skorża powtórzono tylko prawdy, które zna w miarę rozgarnięty kibic:

- Piętnaście dni, to za krótki okres na odpowiednie przygotowanie reprezentacji.
- Większość kadrowiczów była na Mundialu 2006 w znacznie słabszej formie, niż w czasie eliminacji 2004-2005. Próba „ratowania sytuacji” nie przyniosła spodziewanych efektów.
- Zawiodły również formy mentalnego przygotowania zawodników do tak dużej imprezy.
- Ogromny ładunek odpowiedzialności wręcz „przytłoczył” zawodników nie pozwalając im na ukazanie pełni możliwości.

Jak przyjęto te uwagi w PZPN? Uznano, że „raport” jest niepełny, kadłubowy i profesjonalnie niedojrzały. Wytknięto autorom duże braki w prezentacji czysto piłkarskich elementów charakterystycznych dla tych mistrzostw, zganiono też za nadmierne rozbudowanie kwestii medycznych. Trafne uwagi. Mnie w tym sprawozdaniu najbardziej zabrakło miarodajnych wskazówek szkoleniowych w skali globalnej, no i oczywiście korzystnych dla naszej reprezentacji. Tu „niedoróbki” raportu były najbardziej widoczne. Podczas Weltmeisterschaft 2006, niestety – lot naszych Orłów był bardzo niski, wlokły się

w ogonie finałowej rozgrywki. Racjonalnych przyczyn nie podano. Nic więc dziwnego, że dość powszechnie sugerowano, że Paweł Janas nie za bardzo wiedział, dlaczego jego podopieczni wypadli w Niemczech tak błado. Najsurowiej pracę duetu Janas – Skorża ocenił „Przegląd Sportowy”. Był to „raport” – NIE NA TEMAT.

ANEKS DO „RAPORTU” JANASA

W przeszłości podobne sprawozdania, a właściwie rzetelne raporty z mistrzostw świata (bezwzględnie najlepszy z Mundialu w Argentynie w roku 1978 pod redakcją Ryszarda Koncewicza, niezłe też w 1982 z Hiszpanii i 1990 z Włoch) opracowywali specjaliści wysłannicy Związku. Można powiedzieć, że byli to eksperci w każdym calu. Teraz takich zabrakło. Skoro po Weltmeisterschaft 2006 i w tej materii zarysowała się dość głęboka luka, PZPN chcąc nie chcąc – zlecił opracowanie „raportu” znawcy spoza Miodowej w Warszawie. Los uśmiechnął się do zaledwie trzydziestoletniego Miłosza Stępińskiego naukowca z Uniwersytetu Szczecińskiego. Zostawił w pobitym polu wielu starszych znawców tematu, niewątpliwie bardziej doświadczonych i zapewne oglądających Mundiale już w czasach, kiedy doktora Stępińskiego nie było jeszcze na świecie. To też charakterystyczny signum temporis. Dzisiejsza młodzież wie wszystko najlepiej!

Biegły ze Szczecina fragmenty swoich dociekań opublikował na łamach „Przeglądu Sportowego” zgodnie z prawdą: **„Janas nic nie wymyślił”**. A co zrodziło się w głowie pana doktora? Pokrętna uwaga wstępna, na której – na dobrą sprawę – można by zakończyć całą rozprawę: ... *„Mistrzostwa świata nie przyniosły rewolucyjnych zmian w taktyce, ale nowinek było dużo. Większość z nich powinniśmy wprowadzić na polskie boiska. Jeśli tego nie zrobimy, przepaść między naszym futbolem a światową czołówką będzie się pogłębiać...”*. Nikt rozsądny nie byłby w stanie

temu zaprzeczyć. Zresztą, wkrótce po zwycięstwie „biało-czerwonych” nad Portugalią, tezę szczecińskiego naukowca na łamach dodatku sportowego „Gazety Wyborczej” jednoznacznie potwierdził holenderski szkoleniowiec Leo Beenhakker:

– ... „Wiem, że te słowa mi zaszkodzą, ale uważam, że wasz futbol kompletnie stracił kontakt ze światem. Polacy grają tak, jak grało się 20 lat temu. Ja jestem 40 lat w tym biznesie, a cały czas czytam pisma fachowe, dzwonię do kolegów za granicę, wypytuję, staram się być na czasie...”

Mocno powiedziane, nie zostawię tego bez komentarza. Najpierw jednak postaram się rozwikłać sens kilku tez zawartych w aneksie do „raportu” dra Stępińskiego.

Dziś cały świat gra już obroną strefową... Wszystkie drużyny w grze obronnej w pierwszej kolejności dążyły do zabezpieczenia bezpośredniej drogi do bramki. Gdzie tu nasz pan doktor dostrzega nowinkę? „Nowością” jest tu zapewne odkrywanie wyłącznie starych prawd; jednej obowiązującej już w końcu XIX wieku (obrońcy zawsze dążyli i dziś też dążą przede wszystkim do blokowania dostępu do własnej bramki), drugiej – także dobrze znanej grubo przed pół wiekiem. Magister Tadeusz Foryś z powodzeniem zastosował „strefę” w roku 1957 w zwycięskim meczu z ZSRR w Chorzowie (2:1), a cztery lata później w Warszawie równie udanie Ryszard Koncewicz z tymże rywalem (1:0). A kiedy Jean Prouff wpadł na pomysł, by w Moskwie (również w meczu z ZSRR) zastosować w obronie wariant „każdy swego”, skończyło się to upokarzającym 1:7. Pociężne były wówczas argumenty Francuza, więc je przypomnę:

„Obrona strefowa – to teraz taki sam przeżytek, jak stary „polski zapis” w brydżu. Tu i tam – przekonywał – już od dawna obowiązują kryteria międzynarodowe”.

Prouff szpetnie wtedy błędził, ślepo naśladowując radziecką wersję taktyki w obronie – „każdy indywidualnie pilnuje swego przeciwnika”. Dość długo było to modne rozwiązanie, głównie w krajach obozu wschodniego. Z czasem jednak piłkarski świat nieco więcej korzyści upatrywał w „obronie kombinowanej” (do

końca nigdy nie obumarła), wreszcie przysłała era „agresywnej strefy” i „nowość”, o której wspomina ekspert ze Szczecina. Historia futbolu zatoczyła przeto olbrzymie koło i – to fakt, że w twórczo udoskonalonej formie – wraca do korzeni. Taką samą „nowinką” jest informacja, że *„przeważnie w linii występowało czterech, a bywało, że trzech lub – jak w przypadku Kostaryki – aż pięciu obrońców”*. Sporo na ten temat napisałem już po mistrzostwach świata w roku 1986 w Meksyku. Właśnie wtedy i tam najwyraźniej zarysowały się próby powrotu nie tylko do taktyki niesłusznie uważanej tu i ówdzie za przestarzałą, lecz także do „nowatorskiego” systemu gry. To wszystko, teoretycznie wzbogacane i praktycznie doskonałe, a mające swe źródła w uniwersalnym systemie „trzech obrońców” z „magicznym czworobokiem” w głębi pola gry, wciąż zadziwia współczesnych naukowców.

Mistrzostwa w Niemczech to jednak przede wszystkim renesans systemu 4+4+2. W ten sposób grało najwięcej drużyn. Tu wariantów było bez liku. I tak na przykład Brazylijczycy grali praktycznie bez bocznych pomocników... W ten sposób modyfikowali system na 4+(2+2)+2. W ustawieniu 4+4+2 grali Niemcy. U gospodarzy był wyraźny podział dwójki środkowych pomocników na defensywnego – Torsten Frings i ofensywnego – Michael Ballack... My graliśmy w jednym systemie przez całe spotkanie”.

I tu głośne brawa dla doktora Stępińskiego. Mniej lub bardziej świadomie, ale w oparciu o konkretne fakty, ugruntował on tezę, że: a) nie ma „cudownych” systemów gry, b) układ wyjściowy (ustawienie zawodników) jest daleki od sztywnego schematu, c) na prezentowany wariant gry decydujący wpływ ma, z jednej strony – siła przeciwnika, a z drugiej wyszkolenie i predyspozycje fizyczno-psychiczne własnych zawodników, d) słabością „biało-czerwonych” obok złego przygotowania motorycznego do turnieju, była systemowa ubogość i mało wyrazisty obraz propozycji taktycznych.